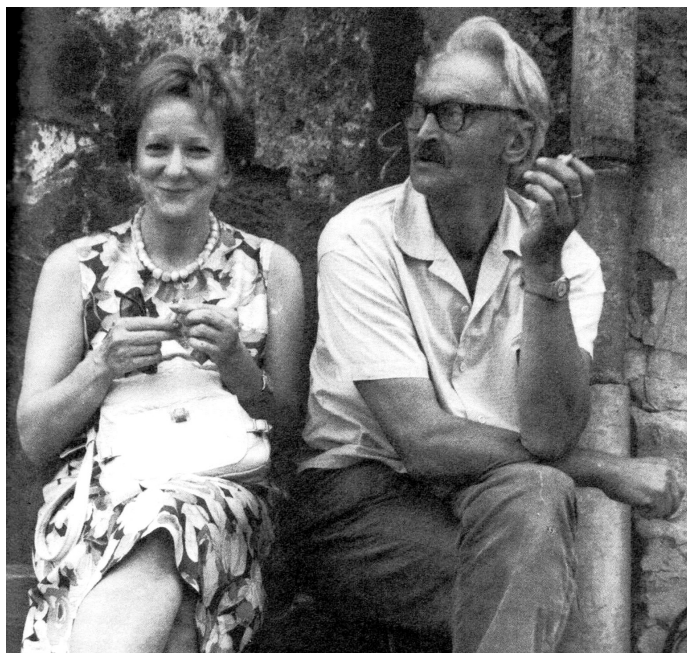


Wisława Szymborska

– między życiem, literaturą, sztuką a drugim człowiekiem



Wisława Szymborska i Kornel Filipowicz ▲

Byliśmy z wizytą u znajomych, a po powrocie zaczęliśmy porównywać, co które z nas zapamiętało. Ja – głównie gospodynię, bo na niej skupiała się moja uwaga. Natomiast Kornel zaczął mi opowiadać, jakie obrazy wisiały na ścianie i jaki był widok z okna, w którym miejscu stary pers miał przetarcia i co stało na starej komódce. Dziś proza często ogranicza się do monologu wewnętrznego, który nie zobowiązuje do opisu świata. Ale to nie dla mnie. Kornel też cenił taką prozę, którą się czuje, widzi, słyszy, węża, dotyka.¹

Związki Szymborskich z Ordynacją Zamojską

Wisława Szymborska urodziła się w Prowencji, położonym ok. 300 m na południe od kórnickiego zamku w Poznańskim². Jej ojciec – Wincenty – przyjechał tam w styczniu 1923 roku. Niebawem dołączyła do niego rodzina: kilkuletnia córka Nawoja (ur. 1917) oraz brzemenna po raz drugi żona – Anna Maria z domu Rottermund. Szymborski zajął się administracją dóbr kórnickich, należących do Władysława hrabiego Zamoyskiego – działacza społecznego i fundatora „Zakładów Kórnickich”. Podstawowym zadaniem tej powstałej z inicjatywy hrabiego fundacji było wspieranie działań kulturalnych. Wśród nich znalazły się: pomoc finansowa na rzecz rozwoju

Szkoły Pracy Domowej Kobiet, wspieranie zdolnej młodzieży, utrzymanie zamku i biblioteki w Kórniku, a także założenie i subsydiowanie naukowego instytutu dendrologicznego. Szymborscy nie zabawili jednak długo na ziemiach poznańskich. Po śmierci hrabiego Zamoyskiego w 1924 r. zarząd „Zakładów Kórnickich” odwołał ojca przyszłej poetki z piastowanego urzędu. Jak wskazuje Kazimierz Krawiarz – biograf Wincentego Szymborskiego – w tle był konflikt i niesłuszne pomówienia konkurentów do posady. W efekcie Fundacja zawarła z Szymborskim umowę o wypłaceniu dożywotniej emerytury, z której jednak rychło się wycofała. Rodzina Szymborskich opuściła Kórnik, przeniosła się do Torunia, a potem do Krakowa. Poetka wspominała po latach, że szczegółowe dzieje ojca są jej niemal w ogóle nieznane. Zmarł nagle w 1936 roku, gdy ona miała niespełna 13 lat. Nikt z Fundacji „Zakłady Kórnickie” nie przybył na jego pogrzeb. Po ojcu pozostało Szymborskiej czarne pudełko z nieocenionymi dla historyka dokumentami – dowodem osobistym ojca i dwunastoma listami od Władysława Zamoyskiego.

Miłości Szymborskiej

Mówi się, że Wisława Szymborska miała dwie wielkie miłości: poezję i Kornela Filipowicza³. Po śmierci pisarza wspominała⁴: *Cudowny człowiek, świetny pisarz. Byliśmy ze sobą 23 lata. Nie mieszkaliśmy razem, nie przeszkadzaliśmy sobie. To byłoby śmieszne: jedno pisze na maszynie, drugie pisze na maszynie... Byliśmy koźmi, które cwałują obok siebie. Czasem nie wiedzieliśmy się przez trzy dni (...).* Tadeusz Nyczek, krytyk literacki, mówi, że tych dwoje łączyło uczucie wyjątkowe: *Nawet kiedy siedzieli tyłem do siebie, to tak, jakby patrzyli w tym samym kierunku. Ich sposób myślenia, sposób oceny ludzi, stosunek do świata był identyczny, zupełnie identyczny* – wraca

pamięcią w filmie Katarzyny Kolendy-Zaleskiej. – Szyborska i Filipowicz jeździli razem na targi staroci do Cieszyna, gdzie poetka kupowała stare modlitewniki i obite pluszem albumy z pocztówkami. Połączyła ich miłość do kiczowatych pamiątek, uwielbiali z nich robić prezenty przyjaciołom. Podziwiali Vaclava Havla, Ellę Fitzgerald i Woody Allena. Szyborska uwielbiała też boksera Andrzeja Gołotę i nie opuściła ani jednego odcinka *Niewolnicy Isaury*. A jednocześnie czytała pisma wielkich filozofów. Swoją karierę zaś dzieliła na czas przed i po „tragedii noblowskiej”. Poetka uważała nawet, że to właśnie Filipowiczowi należała się ta nagroda, a nie jej. Często organizowali wspólnie biwaki, podczas których łowili ryby. Na wyprawy nad wodę zabierali tzw. kornelówkę – domowej roboty cytrynowkę.

Wisława i Kornel we wspomnieniu Urszuli Koziół

Nocą 14 września 2000 roku pojawił mi się we śnie Kornel. Wyminął mnie, a wtedy zobaczyłam na czubku jego głowy złotą koronę, malutką, na kształt wąskiej filiżanki, w jakiej zwykle się podawać piekielnie mocną kawę. – O, Kornel – zawołałam. – Widzisz Kornela? – zainteresowała się niewidoczna we śnie W(isława). – Tak, ma złotą koronę. Taką malenką jak filiżanka smolistej kawy. – Ach, nie – powiedziała niewidoczna we śnie W(isława). – On miał na czubku głowy taki przezroczysty kosmyk. To pewnie światło się w nim odbija. – Może światło – zgodziłam się – pewno to jakieś światło. Ale w tej samej chwili Kornel minął mnie powtórnie i zobaczyłam na czubku jego głowy złotą koronę, taką malusieńką, jak wąski kubek, w którym zwykle podawać się gorzki wywar kawy.

Trzymam teraz przed sobą plakietkę z kremowego marmuru w kształcie małej wstążeczki, na której grzbiecie widnieją cztery brązowe, poprzeczne pręgi. Natomiast na „okładce” bardzo zmyślnie narysowany został na delikatnej gałązce żółty ptak przypominający wilgę, a *vis-a-vis* ptaka – żółty motyl. Są tam jeszcze dwa skrzydlate owady, nad i pod ptakiem, których nie potrafię rozpoznać, jednakże z pewnego określonego powodu myślę przy nich o rybach (co próbuję za chwilę wyjaśnić). Cała ta scenka tchnie czymś niezwykle jasnym, pogodnym, emanuje ciszą i spokojem, przywodząc na myśl jakąś chwilę lata i pograżenie się w zamyśleniu

– nad wodą? w lasach?

Plakietka ta (służąca może za przycisk do papierów?) należała kiedyś do Kornela. Nie wiem dlaczego W(isława) po jego śmierci przekazała ją właśnie mnie, dość, że spoglądając na ten przedmiot wielkości dłoni dziecka, który ma w sobie coś z urody belle epoque i coś z delikatności Orientu (w jego odniesieniach do świata przyrody), myślę o Kornelu przyrodniku: i tym, który uwielbiał swoje koty, ryby, waleśnianie się po lasach nad wodami (...). Czy ktokolwiek mógł nie polubić Kornela z tym jego zmysłem przyjaźni, koleżeństwa, z jego prawością, rzetelnością, ale też niesamowitym poczuciem humoru? Miał zawsze w sobie coś z dużego chłopca, skory do zabaw i psot, ale i do istotnych dla środowiska działań. Czy nie dlatego Igniełłmy do niego, starsi i młodszy, ba, całkiem młodzi, wyczuwając w nim swoistego „strażnika pieczęci”, który innym miał do zaoferowania tak wiele? A jak wspaniale się z nim piło, tego, owszem, ale nie na umór, w sam raz tyle, żeby wyśpiewać z pamięci te wszystkie dawne pieśni, przekazywane przez przodków, którzy w dobie, kiedy jeszcze nie było radia i telewizji, faszerowali naszą pamięć wspomnieniami zeszlowiecznych patriotycznych doznań i fantazji. Tak, Kornel był wspaniały do wypitki, ale i do wybitki (jego wojenne losy przetwarzane – po mistrzowsku! – są zresztą do odnalezienia w jego znakomitych opowiadaniach, wciąż jeszcze należycie niedocenianych przez głuchawą krytykę).

A kiedy pojawił się nóż? Ten, do noszenia którego przyznał się, odprowadzając mnie wieczorem do tramwaju, chyba właśnie w początkach lat osiemdziesiątych, kiedy mnożyły się ataki „nieznanych sprawców” na niepokornych obywateli. Nie wyobrażałam sobie, że Kornel, który wyjmował haczyk z pyszczka małych ryb, by z powrotem wypuszczać je do rzeki, zechce użyć tego noża. No, chyba że w obronie W(isławy) lub w obronie własnego życia i godności.

Jak przystało na rasowego prozaika, lubił Kornel (i potrafił) wymyślać sobie role, w które z zapalem się wcielał, np. wtedy, kiedy w pewnej poznańskiej wioseczce przez parę lat odgrywał rolę poważnego profesora biologii czy może archeologii, przebywając na letnisku, zatajając tym sposobem swą właściwą profesję, z którą zazwyczaj czujemy się nieporęcznie poza własnym środowiskiem. Bardzo wysoko ceniłam jego prozę, chętnie zamieszczaliśmy jego teksty



▲ Wisława Szyborska, Kornel Filipowicz i Urszula Koziół

w „Odrze”, stał się zresztą laureatem nagrody naszej redakcji. A poznałam go osobiście parę lat wcześniej na jakimś zjeździe pisarzy. Był właśnie zakochany jak sztubak, cały promieniał od środka tym uczuciem, kiedy tak jakoś zawadiacko i zaczepnie zagadnął mnie, co sądzę o W(isławie), pomyślałam, że ma w sobie coś z błędnego rycerza dawnych epok, który rad by wyzwać na pojedynek każdego, kto nie podzielałby podziwu dla damy jego serca.

Kto nie pamięta tych spacerów (w czasie pobytu w Krakowie) między Chocimską a dawną Dzierżyńskiego, kiedy to przechodziło się od jednego stołu do drugiego (tą właśnie trasą, przecinając małe targowisko), krążąc między „kornelówką”, rybką i pieczonymi kartoflami a wódeczką i obowiązkowa zupką (wtedy jeszcze nie tą z „gorących kubków”, tylko prawdziwą), nie mówiąc o innych pysznościach – przerywnikach w rozmowie zawsze zajmującej, ważnej, choć niby lekkiej?

Jakieś pół roku bodaj przed śmiercią Kornela, kiedy obydwoje odprawiali nas do taksówki, Kornel puścił przodem W(isławę) i F(eliksa) i odciągnąwszy mnie nieco na bok, pokazał mi na pasku spodni, jak dalece ostatnio zeszczupiał. Przestraszyłam się i zapytana nie umiałam wykształcić, co tym sądzę. Coś tam mamrotałam, próbując zbagatelizować sytuację, ale ogarnął mnie niepokój. No i stało się niebawem to, o czym on zapewne wiedział, zanim rzecz została nazwana (i podobno oficjalnie zatajona przed nim).

Kim był Kornel Filipowicz?

Życie Filipowicza związane było w zasadzie z trzema miejscami. To Tarnopol – gdzie pisarz się urodził 27 października 1913 roku. Potem był Cieszyn – wyemigrował tam jako mały chłopiec z matką, babką i ojcem, który powrócił do rodziny po zakończeniu I wojny światowej. Oraz Kraków – gdzie Filipowicz spędził swoją dorosłość; tam też umarł 28 lutego 1990 r. w ramionach Szymborskiej. Duży wpływ na jego życie i twórczość miały także dwa inne miejsca – obozy koncentracyjne w Gross-Rosen i Oranienburgu, zlokalizowanym około 30 km na północ od Berlina. Cieszyn, w którym osiedlili się Filipowiczowie, był zupełnie inny niż Tarnopol czy kresowe miasteczka i osady. To była radykalna zmiana środowiska, kręgu kulturowego i dialektowego, która przyczyniła się do ukształtowania osobowości twórczej pisarza⁶. Po dzieciństwie spędzonym w Cieszynie Filipowicz przeniósł się do Krakowa, gdzie podjął studia na Uniwersytecie Jagiellońskim. Był związany z organizacjami lewicowymi: Związkiem Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej i Międzynarodową Organizacją Pomocy Rewolucjonistom. Współredagował miesięcznik „Nasz Wyraz”. Wtedy też debiutował opublikowanym w „Zaraniu Śląskim” opowiadaniem „Zapalniczka” i wierszem drukowanym w „Gazecie Artystów”. W tę niespokojną młodość weszła nagle wojna. Gdy wybuchła, Filipowicz miał już na sobie mundur wojskowy. Brał udział w kampanii wrześniowej, został wzięty do niewoli, z której udało mu się zbiec. Działal w konspiracji razem z Ignacym Fikiem. W czasie okupacji pracował jako urzędnik w kamieniołomach w Zagnańsku pod Kielcami, potem w jednym z krakowskich antykwariatów,

w biurze budowlanym. Równocześnie pisał wiersze i publikował je w konspiracyjnych wydawnictwach. Aresztowany przez gestapo w kwietniu 1944 r., był więziony najpierw w Krakowie, potem we wspomnianych wcześniej obozach. Po wojnie, pomimo licznych nacisków, Filipowicz nigdy nie został członkiem partii. Jest nawet pewna anegdota dotycząca tej sprawy. Przytaczał ją wielokrotnie Jan Pieszczachowicz, wieloletni kolega Filipowicza ze Związku Literatów oraz autor monografii o pisarzu. Jego zdaniem, Władysław Machejek, działacz i redaktor „Życia Literackiego”, chciał nakłonić Filipowicza do wstąpienia do partii, więc uknuł chytry plan. Chciał pisarza upić i podsunąć mu szybko dokumenty. Machejek tak to potem relacjonował: *Wódkę to wypił, a jakże, ale gdy chciałem, żeby podpisał – powiedział mi, że przyniesie opowiadanie, rzecz jasna psychologiczne*. Filipowicz współpracował z wieloma czasopismami, m.in. z „Odrodzeniem”, „Życiem Literackim”, „Tygodnikiem Powszechnym”, „Odrą”, w roku zaś 1981 był współzałożycielem, a potem zastępcą redaktora naczelnego miesięcznika „Pismo”, którego ukazywanie się zostało przerwane w momencie ogłoszenia stanu wojennego. Na początku lat siedemdziesiątych znalazł się w kręgu demokratycznej opozycji. Był członkiem Towarzystwa Kursów Naukowych, publikował w wydawnictwach ukazujących się poza zasięgiem cenzury. Brał udział, jako obserwator, w procesach robotników. Po zawieszeniu ZLP przez dekret o stanie wojennym prowadził, razem z innymi pisarzami, „podziemną” działalność związkową. Był współzałożycielem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Pierwsza żona Filipowicza

Pierwszą żoną Filipowicza – i wielką miłością – była Maria Jarema. Jej postać przewija się przez całą twórczość pisarza. Długo po jej śmierci, w latach 80., pisał o ich wspólnych relacjach z wielką czułością i tęsknotą. W opowiadaniu *Fizjologia czytamy?: Stolik, przy którym siedzimy naprzeciw siebie, ja i Maria. Dwie filiżanki i dwa kieliszki stojące na marmurowym blacie stolika, papierowe serwetki zwinięte w trąbkę w szklance, podłużna irchowa torebka, leżąca*

na skraju stolika, w pobliżu lewej ręki Marii. Twarz Marii, jej oczy patrzące na mnie, jej poruszające się usta, słowa Marii, które słyszę, jej myśli, które staram się odgadnąć. Jaremianka była artystką (opatrzyła ilustracjami pierwszy tomik poezji Filipowicza *Mijani*, wydany podczas wojny domowym sump-tem). Przywiązanie do sztuk pięknych, jakie wykazywała, pociągało Filipowicza. Sam od najmłodszych lat malował akwarele, martwe natury oraz pejzaże. Nosił się nawet z zamiarem zdawania na Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie. Wiele z jego opowiadań jest niezwykle malarskich, w niektórych nawiązuje dosłownie do dzieł mistrzów, m.in. Pietera Bruegla (*Dwie małpy* autorstwa Bruegla stały się także inspiracją wiersza Szymborskiej). Maria Jarema urodziła się w 1908 r. w Starym Samborze, zmarła zaś w 1958 w Krakowie, po długiej i wyczerpującej chorobie. Współpracowała jako scenografka i aktorka z teatrem Cricot, założonym przez Józefa Jaremę, jej brata, a także teatrem Lalki i Maski „Groteska” oraz z nieco późniejszym Cricot 2 Tadeusza Kantora. Syn Marii Jaremy i Filipowicza, Aleksander, tak wspomina tamte czasy: *Matka i ojciec opuścili mnie dość wcześnie, ale nie odczuwałem tego jako porzucenia. (...) Obydwoje rodzice zajęci byli swoją twórczością. Matka malowała, Ojciec pisał książki, nie mieli więc dla mnie czasu za wiele. Gdy byłem już nieco starszy, pamiętam, że Ojciec starał się zainteresować mnie przyrodą (z wykształcenia był biologiem). Zabierał mnie na wycieczki rowerowe, pokazywał jak łapać w stawach rozwielitki i inne wodne stworzenia, zrobił mi akwarium i uczył hodować rybki. (...) Gdzie indziej Aleksander Filipowicz dodaje: Mówiłem do Niej i o Niej Marysia Mama. Mieszkała ze mną w domu rodzinnym na Woli do końca lat 40. (...) W miarę dorastania obraz matki coraz bardziej utrwał się w mojej psychice i chociaż miała ona dla mnie coraz mniej czasu, czułem się coraz bardziej z nią związany. Przy całej bezkompromisowości w stosunku do świata i swojej sztuki w kontaktach z ludźmi była bardzo delikatna. Pamiętam dobrze jedną rozmowę, kiedy Marysia mama wiedziała już o swojej nieuleczalnej chorobie, powiedziała mi wtedy, że muszę dorosnąć i sam wziąć odpowiedzialność za swoją przyszłość. Powiedziała też, że prawdziwą wolność może dać człowiekowi*

tylko wiedza, więc nie powinienem zaniedbywać nauki. Jest ze mną, choć w oddaleniu, bo w pozostałych po niej obrazach jest życie.

W tym samym czasie...

Mniej więcej w tym samym czasie – gdy kwitło małżeństwo Filipowicza i Jaremiarki – Wisława Szymborska związała się z pisarzem Adamem Włodkiem. Nowożeńcy zamieszkali w tzw. czworakach literackich na Krupniczej, w kamienicy skupiającej także innych znanych pisarzy, m.in. takich jak Jerzy Andrzejewski, Stefan Kisielewski, Czesław Miłosz, Kazimierz Brandys czy Sławomir Mrożek. Poetka rozstała się z mężem po sześciu latach, aczkolwiek do końca jego dni, do 1986 roku, pozostawali w wielkiej przyjaźni.

Przyjaźnie artystyczne Filipowicza

Kornel Filipowicz był człowiekiem niezwykle towarzyskim, także z racji piastowanych przez siebie w środowisku literackim stanowisk. Jednak zwłaszcza kilka osób wpłynęło na jego twórczość w sposób szczególny. Był to m.in. Julian Przyboś, który w czasach cieszyńskich był wychowawcą Filipowicza w gimnazjum. Na lekcjach polskiego zapoznawał uczniów z czasopismami awangardowymi, omawiał bieżące wydarzenia literackie i artystyczne. Ten jeden z najwybitniejszych poetów Awangardy Krakowskiej był równocześnie wielkim miłośnikiem przyrody. Uczestniczył w corocznych spływach kajakowych, organizowanych przez Filipowicza, rodzinę Jaremów i pozostałych przyjaciół. Podczas tych wycieczek artyści wymieniali się poglądami, czytali książki przemycane przed cenzurą: Miłosza, Gombrowicza. Ważne miejsce w życiu Filipowicza zajmowali także bracia Różewiczowie. To z nimi w latach 50. utworzył nieformalną grupę artystyczną „Miczura – Film”. Nazwa wzięła się z żartu na temat wielkiej miłości, jaką darzył Filipowicz koty. Miczura, jak się łatwo domyśleć, to imię kotki pisarza. Różewiczowie ustalili, że to całkiem niezła nazwa dla ich zespołu – koty są przecież takie nieobliczalne i zupełnie niezależne. Wraz z Tadeuszem



▲ Wisława Szymborska i Kornel Filipowicz na rybach

Różewiczem Filipowicz był współautorem kilku scenariuszy filmowych. W 1956 r. powstaje dramat psychologiczny *Trzy kobiety*. Film przedstawia dzieje byłych więźniarek hitlerowskiego obozu śmierci: Heleny, Marii i Celiny, które po wojnie próbują odnaleźć się w nowych okolicznościach. Każda z kobiet obiera inną drogę. W 1959 r. do kin wchodzi *Miejsce na ziemi* – dramat obyczajowy nagrodzony w San Sebastian. Bohaterem filmu jest siedemnastoletni Andrzej, który buntuje się przeciwko atmosferze swego domu rodzinnego. Kradnie motocykl, zostaje skazany przez sąd, kilkakrotnie ucieka z domu poprawczego, zaś po śmierci matki wyjeżdża do wuja nad morze, gdzie po kolejnych perypetiach zaczyna nabierać ogłady i odnajduje wewnętrzny spokój. W latach 60. powstaje przejmujący dramat obyczajowy *Głos z tamtego świata*. Został on oparty na prawdziwych wydarzeniach, które miały miejsce w Krakowie. Działal tam pseudolekarz, który niby leczył i niby kontaktował się z duchami bliskich zmarłych swoich pacjentów. Główne role zagrali: Kazimierz Rudzki, Danuta Szafarska, także Krystyna Feldman, Irena Kwiatkowska, Marta Lipińska i Wanda Łuczycka – nagrodzona za rolę w tym filmie na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Mar del Plata w Argentynie. Pod banderą „Miczura – Film” powstała także komedia *Piekło i Niebo*, przedstawiająca stereotypowe, ale i zabawne wyobrażenia o zaświatach. Akcja zaczyna się w autobusie, którym podróżują m.in. referent Ignacy Zasada i jego 9-letni wnuk Piotruś, urzędnik Stefan oraz piękna Klara. Autobus ulega poważnemu wypadkowi, zaś podróżujące nim osoby budzą się w zaświatach. Tam radzić muszą sobie sami. Ostatnim filmem, który powstał w kooperacji Filipowicz – Różewiczowie był dramat psychologiczny *Szklana kula* – obraz młodych maturzystów, którzy na początku lat 70., czyli w okresie tzw. wczesnego Gierka, snują się po Krakowie w poszukiwaniu dorosłości i wolności.

Druga żona Filipowicza

Dzięki Tadeuszowi Różewiczowi pisarz poznał swoją drugą żonę – Marię Próchnicką – która pracowała w słynnym Muzeum Sztuki Współczesnej w Łodzi. W mieście tym nadal mieszka. W 1964 r. urodził się im syn, Marcin. Małżeństwo to jednak rozpadło się dość szybko. Obydwaj synowie Filipowicza, pomimo dużej różnicy wieku – dzieli ich 21 lat – utrzymują ze sobą stały kontakt. Marcin – z wykształcenia polonista, działacz kultury, w rocznicę śmierci ojca przyjeżdża do Krakowa, bywa także w Cieszynie. Odwiedza tam groby swoich bliskich, pochowanych na cmentarzu komunalnym.

W 20. rocznicę śmierci

Do Cieszyna 1 maja 2010 roku, w dwudziestą rocznicę śmierci pisarza, obok jego synów przybyła Wisława Szymborska. Przy okazji 12. Przeglądu Filmowego „Kino na Granicy” niestrudzenie angażowała się w popularyzację pozostałej po Filipowiczu spuścizny. W programie przeglądu znalazły się wówczas filmy nakręcone na podstawie jego opowiadań

i scenariuszy. Na spotkaniu poświęconym pisarzowi pojawili się także jego przyjaciele, m.in. Bronisław Maj, Leszek Moczulski, Bogusław Kierc i Jerzy Kronhold. Jan Pieszczachowicz wspominał, iż pisarz był obdarzony wrodzonym poczuciem sprawiedliwości. *Niezależnie od tego, kogo spotykała niesprawiedliwość: czy komuniści krzywdzili katolika, czy katolicy – co się o wiele rzadziej zdarzało – zaczynali opluwać przeciwników, jeśli uważał, że ktoś na to nie zasługuje, stanowczo sprzeciwiał się temu. Czasami nawet popadał w lekki konflikt ze swoimi kolegami.* Marcin Filipowicz wspominał swego ojca jako osobę niewierzącą, jednak blisko związaną z tradycją chrześcijańską: *dlatego nie chciał „pochówku świeckiego”. O smutku takiego zakończenia życia pisał w wierszu pod takim właśnie tytułem. Przyjaźnił się z przedstawicielami wielu wyznań. Swoim poglądom na temat tolerancji dał wyraz m.in. w opowiadaniu „Modlitwa za odjeżdżających”.*

Przypisy:

1. Cyt. za: J. Szczęsna, *Proza do wążania i dotykania*, gazeta.pl, 2010-02-27, [dostęp 2012-05-02]
2. Na podstawie reportażu: W. Szostak, *Szyborscy: burzliwe fortuny obroty*, gazeta.pl, 2012-02-09, [dostęp 2012-05-02]
3. W oparciu o publikację: A. Bikont, J. Szczęsna, *Wisławy Szymborskiej pamiątkowe rupiecie, przyjaciele i sny*, Warszawa 2003, a także *Byliśmy u Kornela. Rzecz o Kornelu Filipowiczu*, Kraków 2010 i J. Pieszczachowicz, *Ku wielkiej opowieści. O życiu i twórczości Kornela Filipowicza*, Kraków 2010.
4. Zob: J. Szczęsna, *Proza do wążania i dotykania...*
5. Cyt. za: *Byliśmy u Kornela. Rzecz o Kornelu Filipowiczu*, dz. cyt., s. 193.
6. J. Pieszczachowicz, *Ku wielkiej opowieści...*, dz. cyt., s. 19-20.
7. K. Filipowicz, *Koncert f-moll i inne opowiadania*, Kraków 1982, s.34.
8. *Byliśmy u Kornela...*, dz. cyt., s. 161.
9. J. Pieszczachowicz, *Ku wielkiej opowieści...*, dz. cyt., s. 134-135.
10. *Byliśmy u Kornela...*, dz. cyt., s. 170.

Fotografie pochodzą z książki *Byliśmy u Kornela. Rzecz o Kornelu Filipowiczu*, praca zbiorowa, red. Krzysztof Lisowski, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2010.

Justyna Gorzkowicz